

Walka klasowa bez prochu

21 lutego 2010

Ach, w jakich ciekawych czasach żyjemy! Przypominają zarazem ostatnie chwile na „Titanicu”, z tym że nie gra żadna orkiestra, tylko powietrze wypełnione jest jazgotem mężyków stanu, spierających się w mediach i komisjach śledczych o różnicę łajdactwa – oraz ponurą wizję Ojca Narodów, który chyba nie bez racji zauważył, że walka klasowa zaostrza się w miarę postępów socjalizmu. Socjalizm, jak wiadomo, zasadza się na przekonaniu, iż podział dochodu narodowego w zasadzie powinien dokonywać się pod przymusem i za pośrednictwem władzy publicznej, to jest – poprzez państwo.

Takiemu pogładowi hołduje znaczna część tak zwanych polityków prawicowych, skupionych wokół Jarosława Kaczyńskiego, oraz co najmniej tyle samo działaczy Platformy Obywatelskiej. Przyczyną nie są bynajmniej jakieś głębokie przemyślenia ideologiczne, tylko całkiem prozaiczna okoliczność, że taki mechanizm sprzyja lawinowemu rozmnażaniu posad, to znaczy – wesołych miejsc nie tyle pracy, co miejsc, w których pobiera się pieniądze ukradzione ludziom doprowadzonym do stanu bezbronności pod pretekstem roztaczania nad nimi „opieki”.

Pod tym względem politycy PiS nie różnią się od polityków PO – co znakomicie ilustruje casus posła Antoniego Mężydły. Jak wiadomo, przeszedł on z PiS do PO, składając przy okazji niewątpliwie szczerą deklarację, iż nie musiał przy tym zmieniać poglądów. Powiem więcej – pod tym względem jedni i drudzy nie różnią się od polityków tak zwanej lewicy, którzy z tych samych powodów uważają dokładnie tak samo. O tak zwanych ludowcach szkoda nawet wspominać, bo od co najmniej stu lat najtwardszym jądrem programu politycznego stronnictw ludowych jest dojenie państwa pod pretekstem, że „najcięższa jest dola chłopa”.

Oczywiście oprócz tego zasadniczego podobieństwa są też i

różnice; poszczególne ugrupowania pragną „odsunąć się” wzajemnie „od władzy”, żeby zostało więcej dla nich. I to jest właśnie owa „walka klasowa”, o której wspominał Ojciec Narodów, a którą dyskretnie, za pomocą agentury, rozbudowanej nie tylko w ostatnim dziesięcioleciu PRL, ale również – a może przede wszystkim – w 20-leciu Polski Niepodległej, nadzoruje rozwiadka, której najtwardszym jądrem pozostaje wywiad wojskowy z komunistycznym rodowodem. Właśnie generał Dukaczewski, ostatni szef „rozwiązanych” we wrześniu 2006 roku Wojskowych Służb Informacyjnych, stanął na czele organizacji SOWA, założonej gwoili obrony „dobrego imienia” rozwiadki. Najbardziej spektakularnym wyrazem tej reżyserii jest wyrok niezawisłego sądu, uniewinniający Andrzeja Milczanowskiego z przestępstwa polegającego na tym, iż jako minister spraw wewnętrznych publicznie oskarżył ówczesnego premiera Józefa Oleksego o szpiegostwo na rzecz Rosji. Niezawisły sąd uznał, że czyn ten charakteryzuje się „znikomą szkodliwością społeczną”, w związku z czym przestępstwem nie jest. Od razu widać, że niezawisły sąd orzeka według podstawowej konstytucyjnej zasady III RP, że „my nie ruszamy waszych, a wy nie ruszacie naszych”, a jeśli ze względu na konieczność prowadzenia walki klasowej, żeby „pięknie się różnić”, czasami nawet ruszacie – to jednak tak, żeby wszystko zakończyło się wesołym oberkiem.

Pierwszą jaskółką zwiastującą zaostrzenie się walki klasowej był wywiad, jakiego prezes Jarosław Kaczyński udzielił tygodnikowi „Newsweek”. Dał tam do zrozumienia, że ministrowi Radosławowi Sikorskiemu przytrafił się szalenie kompromitujący casus pascudeus, o którym wie prezydent, premier Tusk, no i oczywiście on też – ale o co chodzi – nie powie, bo to tajemnica państwowa. Dziennikarze zaczęli w związku z tym pisać o „hakach” na Sikorskiego, ale na takie dictum prezes Kaczyński ostrzegł, że on tego zakazanego słowa nie użył, więc za przypisywanie mu go będzie stawiał winnych przed niezawisłym sądem. Minister Sikorski doniesienia te zbagatelizował, natomiast premier Tusk najwidoczniej uznał, że

jest to okazja schwytania prezesa Kaczyńskiego we własne sidła. Oświadczył, że on o żadnym casusie Sikorskiego nie wie, zażądał stosownych dokumentów od ABW, a kiedy otrzymał stamtąd wiadomość, że żadnych takich dokumentów nie mają, oficjalnie zażądał wyjaśnień od prezydenta. Sprawa jest więc, jak powiadają w niezawisłych sądach, „rozwojowa”, zwłaszcza, że o „hakach” kolekcjonowanych przez PiS na swoich przeciwników zaczął rozpowiadać były wicepremier w rządzie Jarosława Kaczyńskiego Roman Giertych. W odpowiedzi Jarosław Kaczyński zapowiedział wytoczenie Romanowi Giertychowi procesu przed niezawisłym sądem, a Roman Giertych – wytoczenie procesu Jarosławowi Kaczyńskiemu.

Nie jest wykluczone, że tych procesów może być więcej, bo potencjalnym przeciwnikiem Prawa i Sprawiedliwości może okazać się właściwie każdy. Właśnie do grona przeciwników PiS dołączył semper fidelis senator Zbigniew Romaszewski, którego Jarosław Kaczyński „zawiesił” za głosowanie przeciwko uchyleniu immunitetu senatora Piesiewicza. Potraktowanie senatora Romaszewskiego przez Jarosława Kaczyńskiego tak samo jak swoich fagasów, musiało przelać czarę goryczy, bo senator Romaszewski nie tylko z PiS wystąpił, ale i skrytykował tę partię za niedostatek demokracji. Wprawdzie z PiS-em aż tak źle nie jest, ale niektórzy dalekowzroczni działacze, obawiając się, co będzie dalej, zaczynają powtarzać sobie po cichu anegdotkę o pewnym literacie, co to się ożenił, żeby podwoić liczbę swoich czytelników.

Tymczasem do „hazardowej” komisji śledczej wzywani są kolejni świadkowie, z których zeznań wynikają nie dające się usunąć sprzeczności, chociaż wszyscy, ma się rozumieć, zeznają pod przysięgą. W tej sytuacji trzeba będzie znowu rozpocząć dyskusję o faktach, której, jak powszechnie wiadomo, unikają dżentelmeni. Wygląda na to, że w naszym politycznym establishmencie dżentelmenów już nie ma, to znaczy – oczywiście są, ale dżentelmenerię pozostawili w szatni, przebierając się w sejmowe drelichy robocze. Jest zatem więcej

niż pewne, że prace komisji przeciągną się co najmniej do lata, a może nawet – do wyborów prezydenckich, które oczywiście będą swoistą kulminacją obecnego etapu zaostrzenia walki klasowej. W Platformie Obywatelskiej kandydata mają wyłonić prawyborcy, w których – jak przytomnie zauważył Chorąży Pokoju – ważne jest nie tylko, kto głosuje, ale przede wszystkim – kto liczy głosy. Głosować będą oczywiście członkowie PO, podobnie jak i liczyć głosy, więc prawdopodobieństwo, że wynik będzie całkowicie zgodny z oczekiwaniami razwiedki, graniczy z pewnością. A jakie są oczekiwania razwiedki? To można by ocenić na podstawie liczby i ciężaru gatunkowego „haków” poszczególnych kandydatów, bo to właśnie one określają stopień tak zwanej „przewidywalności” przyszłego prezydenta. Z tego punktu widzenia warto przytoczyć opinię redaktora Jacka Żakowskiego, uchodzącego w Salonie za „proroka mniejszego” – że Radosław Sikorski byłby dobrym kandydatem, ale dopiero w roku 2020, a teraz lepszy jest Bronisław Komorowski. Pomysł prawyborów skrytykował dr Andrzej Olechowski, twierdząc, że oznacza on upartyjnienie prezydentury, do czego on, jako kandydat niezależny, nie chce przykładąć ręki, i zaapelował do członków i sympatyków PO, by niezależnie od wyników prawyborów głosowali na niego. Kandydatem PiS jest oczywiście prezydent Lech Kaczyński, którego stręczy nie tylko brat, ale również poseł Antoni Macierewicz, twierdząc, że jeśli ten kandydat nie wygra, to „stracimy wszystko”. Już mniejsza o to, co znaczy to „wszystko”, ale co będzie jeśli Lech Kaczyński wygra?

W oczekiwaniu na odpowiedź na to dramatyczne pytanie wypada odnotować wojnę polsko-białoruską, która też się zaostrza na podobieństwo walki klasowej. Polska, ma się rozumieć, może już tylko groźnie kiwać palcem w bucie, więc Sejm właśnie podjął uchwałę o potrzebie zastosowania wobec Białorusi sankcji, by w ten sposób skłonić złowrogiego Aleksandra Łukaszenkę do uznania Związku Polaków kierowanego przez panią Andżelikę Borys. Sęk w tym, że Polska żadnych prawdziwych sankcji zastosować już nie może, bo od 1 grudnia politykę zagraniczną

UE oficjalnie prowadzi Angielka podobna do konia, która w tej sprawie zrobi tylko to, co jej zleci Nasza Złota Pani Aniela, być może po konsultacji ze swoim strategicznym partnerem Putinem. Ale przy pomocy takich uchwał można znakomicie się licytować, kto lepiej broni polskiego interesu narodowego. Nic to nie kosztuje, bo wszystko i tak skrupi się na Bogu ducha winnych białoruskich Polakach. Właśnie tamtejszy niezawisły sąd w Wołożynie odebrał Związkowi kierowanemu przez panią Borys Dom Polski w Iwieńcu i prawdopodobnie przekaże go Związkowi Polaków uznawanemu przez białoruskie władze. Wprawdzie już od 17 września, kiedy to prezydent Obama ogłosił, że już żadnych dywersantów na razie nie potrzebuje, walka z nienawistnym Łukaszenką zawisła w politycznej próżni, ale najwyraźniej dla naszych mężyków stanu jest ważnym środkiem terapeutycznym, rodzajem katapłazmu, jaki mogą sobie przyłożyć na różne kompleksy niższości.

W tej sytuacji można liczyć tylko na cud. Potrzeba jest matką wynalazków, więc jeśli potrzeba cudu, to cud się pojawia. I rzeczywiście – przedstawiający komisji śledczej powołanej przez Sejm gwoździ kanonizacji Barbary Blidy swoją opinię ekspert kryminolog powiedział, że Barbara Blida wprawdzie popełniła samobójstwo, ale przy pomocy ślepego naboju. Okazuje się, że jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści. Czy to wystarczy do uznania pani Blidy za santa subito? Być może tak, ale jeśli docelowo ma być kanonizowana, to chyba powinna popełnić samobójstwo, strzelając nie tylko ślepakami, ale i bez prochu?

Autor: Stanisław Michalkiewicz

Źródło: [Tygodnik „Goniec” z Toronto](#)